

– Czy Boniek nie powinien już wcześniej zagrać w przodzie? – zapytałem.

– Myślę, że tak... Zbyszkowi to bardzo odpowiada. Porywa go walka, jest dynamiczny, zadziorny... Potrzeba nam takiego żądła. Dla tak wybitnego piłkarza nie ma zbyt dużej różnicy między grą w pierwszej i drugiej linii.

– Podobno nie za bardzo się lubicie...

– Powiem tak: może w nieco inny sposób, ale obaj walczymy o to samo...

O dobro reprezentacji Polski! Dla mnie osobiście byłby to udany debiut na mistrzostwach świata właśnie w towarzystwie Bońka.

– Przecież byłeś już na Mundialu w Argentynie!?

– Tak, nawet dużo wtedy zdrowszy i młodszy, ale cały turniej przesiedziałem na ławce rezerwowych.

Przed meczem Polska – Peru (czyżby już z myślą o pożegnaniu?) kierownictwo naszej ekipy wydało koktajl dla miejscowych oficjeli, dziennikarzy i działaczy FIFA przebywających w La Corunie. Atmosfery nerwowości nie było, a uprzejmość Peruwiańczyków wręcz szokująca. Szef ich ekipy inżynier Alberto Espanosa Perez wręczył naszemu prezesowi doktorowi Włodzimierzowi Reczkowi dwie barwne laleczki. Któryś z gości dyskretnie to skomentował:

– To jest taki stary zwyczaj Inków. Jeśli przed walką chcą dać rywalowi do zrozumienia, że go pokonają, ofiarowują właśnie taki niewinny prezencik.

Prezes Reczek nie dał się zbić z pantałyku. Rezolutnie odpowiedział:

– Zapewne chciałby pan te cacuszka zagarnąć dla siebie... Czy bez laleczek było by nam łatwiej? W duchy nie wierzę! Zabieram suweniry i jestem przekonany, że to nam przyniosą szczęście.

Następnego dnia, 22 czerwca 1982 roku, prezes Reczek opowiedział to wydarzenie piłkarzom. Śmiechu było nie mało, ale też sporo podstaw do głębszej refleksji. A nuż się nie uda? Starym zwyczajem jak podczas igrzysk olimpijskich, były szef PKOl już w bardzo poważnym tonie przemówił do zawodników:

– Koledzy! Przed wami mecz ostatniej szansy. My, Polacy słyniemy z tego, że w trudnych chwilach potrafimy się maksymalnie zmobilizować. Teraz jest taki moment, taka właśnie chwila – trudny mecz z Peru. Myślę, że dziś każdy z was da z siebie wszystko. W zespole tkwią jeszcze duże rezerwy. Panowie stać was na wygranie tego meczu! I tego właśnie wam życzę...

W meczu z Peru przyszło od dawna oczekiwane ODRÓDZENIE. To chyba najwłaściwsze słowo dla określenia tego, co zademonstrowała i czym na „Estadio Riazor” w La Corunie uraczyła nas reprezentacja Polski. Można to porównać tylko z pamiętnym w roku 1974 zwyciężskim meczem z Argentyną w Stuttgarcie. Tamten otworzył długą drogę do trzeciego miejsca na świecie, ten ostatecznie oddalił już tak bliskie niepowodzenie. Przywrócił nadzieje. Odżyliśmy. Stało się to tak nagle i zaskakująco, że chwilami aż nie chciało się wierzyć. Czy w meczu z Peru rzeczywiście grała ta sama drużyna, która w meczach z Włochami i Kamerunem nie zdobyła ani jednej bramki?

Kiedy przed tym spotkaniem odwiedziłem Peruwiańczyków nieopodal La Corunii w uroczym, ale mało dostępnym zakątku El Pazo de Marinan, minę miałem nietęgą. Rygor tu znacznie większy niż w naszej ekipie, „Policia National” wpuszcza tylko ludzi z przepustkami w ściśle określonych godzinach. W innym czasie nawet nie pocałujesz klamki, nie pozwolą. Starzejący się trener Elba de Padua Lima-Tim, z którym udało mi się zamienić kilka słów, tryskał humorem i pewnością siebie. Poprawił tylko starą czapkę, z którą rozstaje się dopiero przed pójściem do łóżka i rozpoczął rozmowę z taką pewnością siebie, że aż mnie zamroziło:

– Wygramy ten mecz bez większego trudu! Zresztą, remis też nas urządza. Włosi i my już strzeliliśmy po jednym голу, a to przy równym dorobku punktowym – zadecyduje. Górą będzie Italia i Peru! Chcemy zająć dalej niż w Argentynie.

Nasi piłkarze są w doskonałym nastroju i wprost tryskają zdrowiem – włączył się do rozmowy lekarz Peruwiańczyków Jorge Alva Flores. Jest im tu w El Pazo

de Marinan cudownie. Woda, drzewa, niewielkie wzgórza i kręte ścieżki... Czujemy się jak u siebie w domu. Quiroqa, Uribe, Velasquez i Barbadillo będą jeszcze gwiazdami tych mistrzostw! Wie pan jak po 1:1 z Włochami w hiszpańskiej prasie ocenił ich trener Enzo Bearzot? To brylantowi technicy!... A nasze radio i telewizja niemal od rana do wieczora nadaje melodyjną piosenkę „Peru Campeon”.

Takie dictum mogło zrobić wrażenie. Podzieliłem się tymi pogroźkami z trenerem Piechniczkiem i kapitanem drużyny Żmudą. Nie padli na kolana.

Antek: – Trzeba zagrać szybko i nieustępliwie. Nie pozwolić na rozwinięcie wygodnego dla nich ataku pozycyjnego. Niech pobiegają, to może opadną z sił...

Władek: – Z każdym dniem dojrzewamy w tych mistrzostwach jako drużyna. Po pierwszych słabszych meczach, atmosfera była kiepska, teraz wszystko dobrze się układa. Nabieramy świeżości... Przed meczami z Włochami i Kamerunem za mocno ćwicyliśmy. Trener trochę popofołgował i teraz czujemy się świetnie. Będzie dobrze!...

Przed przerwą na to się nie zanosilo. Przez 45 minut trzeba było gryźć palce z rozpaczy. Bramka „szalonego” Quiroqi wydawała się być zaczarowana. Czy ten człowiek ma w sobie jakieś magiczne siły? Jak długo jeszcze jego zaklęcia i okrzyki kierowane do kolegów, ale też do samego siebie, będą skuteczne? Trener Tim zaraz po przerwie wzmacnia atak. Wchodzą do gry Uribe i Barbadillo. Był tak pewny siebie czy zabrakło mu wyobraźni? Legł pod gruzami własnych przechwałek. A my, Polacy przeżyliśmy jakiś cudowny sen. Szczelna dotychczas obrona Peru zaczyna pękać. Dostrzega to od lat dobrze mi znany i zawsze przyjazny Polsce trener FIFA, Dettmar Cramer:

– Jest tak jak przewidywałem. Zaraz posypią się bramki. Polska wie, co robi. Forsuje szybkie tempo, ani na moment nie zwalnia... Wszyscy biegają. Peruwiańscy tego nie wytrzymają!

Prorocze słowa. Festiwal pięciu bramek otworzył największy pupil Piechniczka, Włodzimierz Smolarek. Niegdyś Rapid Wiedeń słynął z „cudownego

kwadransa” kończącego niemal każdy mecz. Polacy takie „swoje piętnaście minut” zafundowali nam między 55 a 70 minutą. 1:0 – Smolarek, 2:0 – Lato, 3:0 – Boniek, 4:0 – Buncol. Nieco później wynik na 5:0 podwyższył rezerwowy Włodzimierz Ciołek. Dopiero gdy „chłopcy Piechniczka” nieco odpuścili, La Rosa ustalił końcowy wynik na 1:5. Nie ma Peru! Nie ma Tima! Nie ma Velasqueza, Cubillasa i Uribe! Peru do domu! Teraz na ustach Hiszpanów są tylko dwa słowa: – Brawo Polonia! Słyszemy też głosy turystów z kraju: – Polska! Polska! Obok biało-czerwonych sztandarów powiewają flagi „Solidarności”. Zwycięska drużyna jest skarbem wszystkich Polaków. La Coruna żegna naszych piłkarzy długotrwałą owacją. Wniebowzięty jest red. Stanisław Garczarczyk z Poznania, który w La Corunie zjawił się z wycieczką „Orbisu”:

– Przyniosłem wam szczęście! Jedziemy dalej! Do zobaczenia w Barcelonie...

Stasio już wybiegł w przyszłość, tymczasem nasi piłkarze dopiero po powrocie do Santa Cruz tak na dobre zaczęli smakować peruwiańską wiktorię. W drzwiach hotelu Porto Cobo” właściciel, popularny wśród naszych chłopców Eduardo i jego brat Francisco powitali zwycięzców tradycyjną lampką szampa. Kolacja była wyjątkowo uroczysta, a menu niecodzienne. Czego dusza zapragnie! Jednak na staropolską biesiadę zbyt dużo czasu nie było. Bo oto, zamiast już brać zapowiadany kurs na Barcelonę, w „Porto Cobo” pojawili się wycieczkowicze z Poznania. Wycelowali piłkarzy, odśpiewali „Sto lat” oraz „Mazurka Dąbrowskiego” i dopiero wtedy ruszyli w dalszą podróż. A piłkarze, mimo zmęczenia – z zainteresowaniem oglądali w telewizji mecz Szkocja – ZSRR.

– W drugiej rundzie – sugerował Piechniczek – najprawdopodobniej spotkamy się z Belgią i właśnie z ZSRR. Nasze zadanie? Wygrać z Belgią i zremisować z „ruskimi”. To było by wykonanie mundialowego planu z nadwyżką...

Mecze Polaków z Kamerunem i Peru oglądali prezydent FIFA, Joao HAVELANGE i trener FIFA Dettmar CRAMER. „Latający prezydent” zorgani-

zował w biurze prasowym na „Estadio Riazor” interesującą konferencję, a „trenerki obieżyświat” wdał się ze mną w typowo partnerską rozmowę.

– W obu meczach – komplementował nas Havelange – Polacy potwierdzili dobrą o sobie opinię. To nie przypadek, że już po raz trzeci z kolei jesteście w finałach mistrzostw świata. Teraz zapewne zagraacie w grupie z ZSRR. To mocny rywal. Dość pechowo przegrał z Brazylią 1:2. Z Polską też może mieć kłopoty. Z meczu na mecz gracie coraz lepiej...

Cramera zapytałem, które kraje – jego zdaniem – zrobiły w futbolu największe postępy.

– Czarny Łąd! – odpowiedział bez namysłu. – Pamięta pan rok 1974 i mistrzostwa świata w Niemczech? Wtedy Zair, przedstawiciel Afryki przegrał z Jugosławią 0:9... A tu, w Hiszpanii Kamerun zremisował wszystkie trzy mecze: z Peru, Polską i Włochami. Algieria wygrała z RFN!

– Jest najlepsza w Afryce?

– Nie... Mnie bardziej podoba się Kamerun. Jest coraz bliższy poziomowi europejskiego i południowoamerykańskiego. Już teraz gra dojrzałe. To drużyna na przyszłość...

– A jak widzi pan naszą reprezentację?...

– Rozmawiałem już z Antonim Piechniczkiem. Znam wasze kłopoty... Zaczęliście z niskiego pułapu, bez dostatecznych przygotowań, a jednak... w meczu z Peru pokazaliście dużą klasę. Pójdziecie jeszcze dalej!...

– Mamy równie dobrą drużynę jak w 1974 roku?

– Wtedy mieliście silniejszy zespół, ale teraz też zasłużenie – i to z pierwszego miejsca – awansowaliście do drugiej tury. Od początku na was stawiałem.

– W Barcelonie też będzie pan nam kibicować?

– Będę! Ale tam już tak łatwo wam nie pójdzie... Musielibyście zagrać jeszcze skuteczniej niż w meczu z Peru. Przede wszystkim w obronie...

W czwartek 24 czerwca pożegnaliśmy La Corunię i tawernę, w której najczęściej się stołowaliśmy. Gustowaliśmy w owocach morza, co oczywiście popijaliśmy popularnym w Hiszpanii koniakiem „Veterano”. Miruś Skórczewski miał na to proste wytłumaczenie: – Lubię ośmiornice, ale bez czegoś mocniejszego trudno to strawić. Pomagała właśnie butelka „Veterano”. Poznaliśmy tam jeszcze boski smak luksusowego „Carlos IV”. Bezpłatnie! Tak właśnie trunkowych klientów pożegnał właściciel lokalu. Do Barcelony lecieliśmy razem z Włochami. Mają nadzieję, że na „Camp Nou” dojdzie do rewanżu za bezbramkowy remis w Vigo. Z lotniska pod silną eskortą policji nasza ekipa udała się do „Residencia Gispert” w miejscowości Collbato, oddalonej od centrum Barcelony o 48 kilometrów.

To zupełnie inny świat niż Santa Cruz. Tam hotel „Porto Cobo” usytuowany w centrum miasteczka, natomiast „Gispert” stoi na niewielkim wzgórzu, w lasku, zacisznym ustroniu. Z zewnątrz prezentuje się to nie najgorzej, ale wewnątrz – dramat już na starcie. Brak klimatyzacji! W Santa Cruz nikt na to nie narzekał, bo tam upałów nie było, ale tu żar leje się z nieba. Parno, trudno oddychać. Podobno planowano inną kwaterę, ale uprzedzili nas Argentyńczycy. Wyłożyli gotówkę na stół, my zwlekaliśmy. Cierp ciało jak pieniędzy nie stało... Dziennikarze włoscy podawali o tej naszej „rezydencji” niemalże wojenne komunikaty. Twierdza, forteca, „piłkarski bunkier”...

Nie ma tu basenu, nie ma też boiska. Jest tylko upał, 30 stopni Celsjusza w cieniu i perspektywa jeszcze większej spiekoty. Basen znaleziono w sąsiedniej wsi, a boisko w odległości 8,5 kilometra od „Gispert”. Jest tu nieco więcej spokoju, nie ma tylu kibiców, co w Santa Cruz. Policia National pilnie strzeże dostępu do piłkarzy, także w drodze na basen i podczas treningów w Esparraguerra. To taki maleńki obiekcik wśród domów mieszkalnych. Z okien i balkonów zajęcia Polaków obserwują lokatorzy. Wszyscy darzą nas dużą sympatią. Mówią, że Polska jest „ich” drużyną i w meczach z Belgią i ZSRR będą nam kibicować.

Do meczu z Belgią jeszcze sporo czasu, a że w „Gispert” nie ma wentylacji, przeto w sobotę 25 czerwca wybrano się w góry, do miejscowości Montserrat. Tu jest dużo lepsze powietrze, rześko, lżej oddychać. W Montserrat atrakcją jest klasztor z XI wieku. Trasa z Collbato wiedzie tuż nad samą przepaścią, można najeść się strachu. Ponad godzinę trwa zwiedzanie tego fenomenu – jak twierdzą Hiszpanie – Katalonii i całego świata. Klasztor niczym jaskółcze gniazdo do sufitu, jest przylepiony do gór. Wybudowali to cudo pracownicy benedyktyńni-bracia zakonni, a unosi się nad nim „Czarna Madonna”, patronka prowincji. Niektórzy nasi zawodnicy kupują świece i zapalają je w starym klasztorze. Może „Madonna” pobłogosławi nas w meczu z Belgią?...

Na razie informacje z obserwacji najbliższego rywala przekazuje trenerowi Piechniczкови, Hubert Kostka. W przeddzień meczu bardziej dokładne „rozpoznanie” przeciwnika zaprezentował Kostka całej drużynie. Jest silny fizycznie, można z nim wygrać tylko sprytem i nie szablonowymi akcjami ofensywnymi. Dryblasy z Belgii Bońka nie przerażają: – A czy u nas Władek, Paweł i Stefan – to ułomki? Grzegorz Lato, ten gra w ich lidze... w Lokeren, też twierdzi, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Jak zatem zagrać z Belgami? Nie pozwolić na swobodne przeprowadzenie ataku pozycyjnego, nie dopuszczać do wrzutek ze skrzydeł na pole karne i uważać na spalone. To broń obusieczna! Skład taki sam jak w wygranym meczu z Peru: Młynarczyk – Dziuba, Janas, Żmuda, Majewski – Lato, Matysik, Kupcewicz, Buncol – Boniek, Smolarek.

EL PARTIDO NUMERO TREINTA Y OCHO

Wynik też zbliżony – 3:0! Koncertował Zbigniew Boniek, zdobył wszystkie trzy bramki. Pierwszą zza pola karnego po wspaniałym podaniu (do tyłu!)

Grzegorza Laty. Niemal żywa kopia tej, która w roku 1974 w RFN w meczu z Włochami z podania Kasperczaka zdobył Kazimierz Deyna. O takich golach mówią dziś „stadiony świata”. Zburzyło to taktykę wcale nie słabego rywala, musiał atakować. W to nam graj! Drugi gol – to popis duetu Kupcewicz – Buncol i... strzał Bońka głową. A akcja na 3:0? Prezentacja wrodzonej inteligencji i piłkarskiego sprytu Bońka – czempiona. Ośmieszył belgijskich obrońców i ich „pułapki ofsajdowe”. Strzelił do pustej bramki. Triumfował!

Jakie właściwie słowo jest w stanie w pełni oddać wyczyny Bońka w tym piłkarskim spektaklu? Wirtuozeria?... Fascynacja?... Radość?... Szok dla Belgów i hiszpańskiej prasy?... Nasz Zbyszek przyćmił sławę Maradony. Był gwiazdą widowiska, którym obdarowała kibiców cała polska drużyna. Tak pięknie, mądrze i skutecznie na tym Mundialu grała tylko Brazylia. Na konferencji prasowej jeden z włoskich dziennikarzy zapytał Polaka:

– Panie Boniek czy dlatego grał pan tak dobrze w meczu z Belgią, bo na trybunach siedział trener Juventusu, Giovanni Trapattoni?

– Trapattoni? Juventus? – To nie ten temat. Dziś grałem w biało-czerwonych barwach. Dla Polski zdobyłem trzy bramki...

Oklaskami nagrodzono tę dumną wypowiedź Bońka. To był jego wielki dzień. Mnie już na boisku porwał sposób w jaki dochodził do piłki. Swoboda, dynamika w przeprowadzanych akcjach, zaskakujące zwody i efektowne strzały... Płynna współpraca z kolegami. Jakby to wszystko było kreślone ręką na papierze, a nie nogą na boisku. Polska głowa i dusza!... Kontuzjowany Andrzej Iwan, którego w napadzie zastąpił właśnie Boniek, przesiedział cały ten mecz na trybunach:

Każdy z nas przynajmniej raz w życiu ma tak zwany... „dzień konia”. Myślę, że Zbyszek taki dobry mecz jak z Belgią, jeszcze nieraz rozegra. Ale już ten z poniedziałku 28 czerwca na „Camp Nou” w Barcelonie, przejdzie do historii. Świat piłkarski zapamięta również wspaniałe parady Młynarczyka w bramce, de-

terminację stoperów Żmudy i Janasa oraz zmysł taktyczny Kupcewicza. Także niesamowitego Grzegorza Latę...

Senior reprezentacji akurat z Belgią rozgrywał swój setny mecz. Zrobił to cudownie. Na pozór bez większego wysiłku, szybko i sprawnie, jakby był o dzieś sięć lat młodszy. Pamiętacie? Grał tak w 1974 roku na boiskach RFN. Potwierdził to pan Bofinger, właściciel uroczego pensjonatu „Sonne Post” w Murrhardt. Tak wtedy polubił naszych piłkarzy, że teraz przyleciał za nimi do Barcelony. Uściśkał dłonie Żmudy, Szarmacha i właśnie Lato. To już trzeci ich Mundial i wciąż mistrzowska forma!... Trener Piechniczek też zbierał gratulacje.

Czy Boniek jest już gwiazdą tego Mundialu? Hiszpańska prasa wynosi go pod niebiosy...

Jest i sądzę, że jeszcze o nim usłyszymy.

„El partido numero treinta y ocho” czyli mecz trzydziesty ósmy, tak w oficjalnym komunikacie to zwycięskie 3:0 „biało-czerwonych” zaznaczyli statystycy FIFA. Dla nich też głównym bohaterem tego widowiska był Boniek. Dla nas Polaków było to niecodzienne wydarzenie jeszcze z jednego powodu: setny mecz w reprezentacji właśnie w tym dniu rozegrał Grzegorz Lato, król strzelców Weltmeisterschaft '74. Wtedy w Monachium bramką strzeloną Brazylii dał nam trzecie miejsce na świecie, a teraz w Barcelonie wręcz książkowym podaniem z prawej flanki, przyczynił się do inauguracji festiwalu strzeleckiego Zbigniewa Bońka.

– To już jedenasty sezon Lato w drużynie narodowej i trzecie mistrzostwa świata... Gratuluję! To szczególnie uroczyste chwile w tak długiej karierze.

– Ale powoli trzeba będzie się żegnać. Może jeszcze Władek Żmuda zagra na kolejnym Mundialu...

– Czy wierzył pan, że po pustych bramkach w meczach z Włochami i Kamerunem rozegra w Hiszpanii swój setny mecz?

– Nie traciłem nadziei... Sytuacja była bardzo trudna, nie szło nam, ale gdy przypominałem sobie bezbramkowy mecz z Kubą w Montrealu, a potem olimpijski finał, zacząłem wierzyć, że i tym razem się uda. W trudnych sytuacjach potrafimy się zmobilizować...

– Dlaczego na początku szło tak, jak po grudzie?

– Trzeba na to spojrzeć realnie i... sprawiedliwie. Od listopada 1981 roku nie rozegraliśmy ani jednego meczu międzypaństwowego. Stan wojenny... Pojawiło się zwątpienie, rodziły się złe nawyki... Dopiero w Hiszpanii, w warunkach turniejowych powoli zmieniała się nasza mentalność i rosła forma. Zaczęliśmy wygrywać..

– Jak teraz Jubilat widzi drużynę?

– Przedwcześnie niektórzy położyli na nas krzyżyk. Drużyna jest młoda, rozwojowa... Jestem zaskoczony postawą Matysika. Nie ma jeszcze „nazwiska”, a już odgrywa w zespole dużą rolę. Dobry jest również Buncol. Świetnie gra para stoperów Janas – Żmuda. Janas jest wszechstronniejszy od Gorgonia.

– Teraz mecz z ZSRR. Pójdzie równie dobrze jak z Belgią?

– Zawsze wolę grać z drużynami europejskimi, niż z Ameryki Południowej. Niech Włochy pomęczą się z Argentyną i Brazylią...

– Które z tych stu rozegranych spotkań wspomina pan najchętniej?

– Wszystkie na mistrzostwach świata w RFN...

– Dlaczego?

– Bo to był dla mnie osobiście i dla reprezentacji sukces największy. Graliśmy nowocześnie, chyba najlepiej w całych dziejach naszego piłkarstwa. Byłem królem strzelców...

– No właśnie! Wtedy hasał pan po skrzydle, teraz ciężko pracuje w drugiej linii. Łatwiej być napastnikiem czy pomocnikiem?

– Zdecydowanie napastnikiem! Wymaga to nieco mniej wysiłku. Ale trener Kulesza zrobił ze mnie pomocnika i tak już zostało...

Bogdan Łazuka tuż przed hiszpańskim Mundialem śpiewał tajemniczo brzmiącą piosenkę: *„Entliczek, pętliczek, co robi Piechniczek tego nie wie nikt”*... Po meczu z ZSRR – wynik bezbramkowy w pełni nas urządził – wiedzieli już wszyscy: – **Jesteśmy w strefie medalowej!** Teraz można już było tu w Hiszpanii zanucić za Hanką Ordonówną: – *„Uliczkę znam w Barcelonie”*... I powtórzyć za Łazuką: **„W uliczkę wyskoczył Boniek”**... Zrobił to perfekcyjnie na „Camp Nou”. W najbliższym sąsiedztwie Plaza Catalonia – takie odniosłem wrażenie – poznałem też „uliczkę” ze szlagieru boskiej Hanki.

Penetrowaliśmy teren dość długo, ale skutecznie. Dwieście, może trzysta metrów od skromnej naszej kwatery odkryliśmy: Skórzewski, Stański i ja taką właśnie przytulną uliczkę, a przy niej niedrogą, schludną restaurację. Czuliśmy się tam wyjątkowo swobodnie. Hiszpanie już po wygranej z Peru obdarzyli nas sporą sympatią, ale teraz po wyeliminowaniu Belgii i ZSRR, kłaniali się w pas. E viva Polonia! Oberkelner „Antonio” o stałej godzinie rezerwował dla nas miejsce przy barze. Jadło i napoje wyśmienite, ceny przystępne. Własnego wyrobu piwo „Tele” – prawdziwy rarytas! Nawet Heineken i Carlsberg w jego cieniu!

Po meczu z ZSRR i pewnym awansie do półfinału zaprosiliśmy do „naszej tawerny” trenera Ryszarda Kuleszę. Przyleciał na Mundial aż z Afryki, gdzie teraz pracował. Zdobył sympatię ministra kultury i sportu Tunezji. Egzotyczny boss z własnej puli pokrył tygodniowy pobyt Polaka w Hiszpanii. Via Tunis – Marsylia – Barcelona dotarł Rysio na końcową fazę mistrzostw. „Kulce” również spodobała się nasza „uliczka w Barcelonie”, a w tawernie przyjazne gesty Antonia. Biesiada na całego.

– Antonio! – wzywał Miruś barmana. – Post dos „Tele” quatro „Veterano”!

Pili wszyscy. Rozochocony Kulesza nabrał kolorków, rychło zaprzyjaźnił się z obsługą, uśmiechał się i oznajmił w swoim stylu: – *Teraz ja stawiam „po ku-*

bełku”. Każdy postawił kolejkę. Skórzewski chętnie posiedziałyby jeszcze na wysokich stołkach, ale ochłodziłem jego zamiary:

– Dość! Teraz zapraszamy Rysia do naszego hotelu... Tam pobalujemy do rana. Trzeba zapamiętać ten awans do półfinału!

– Juruś! – Miruś z przyzwyczajenia pokręcił nad głową palcem wskazującym: – Ty masz „genialne pomysły”!

Już poniedziałek czy jeszcze niedziela 5 lipca? Do późnych godzin nocnych rozkoszowali się przede wszystkim piłkarze. O trzeciej nad ranem dołączyli do ferajny Tadeusz Dolny, Grzegorz Lato i doktor Garlicki. Byli po kontroli antydopingowej. „Residencia Gispert” przeżywała najazd dziennikarzy, krajowych i zagranicznych, głównie Włochów. Oni też mieli swój dzień: pokonali Brazylię 3:2 i teraz po raz drugi zagrają z nami. Mecz Włochy – Brazylia oglądałem na stadionie „Sarria” czyli Espanyolu w kompanii z Piechniczkiem, Kostką i Żmudą:

– Niesamowite! Niesamowite! – wykrzykiwali raz po raz. – Ach ten Paolo Rossi! W jego cieniu cały brazylijski gwiazdozbiór! Zico, Sokrates, Falcao, Dirceu...

Po meczu włoscy tifosi wylegli na ulice Barcelony. Śpiewają, wznoszą okrzyki, tańczą tarantelę. Na Ramblas przy Plaza Catalunya w pobliżu naszego pensjonatu bawią się całe pułki kibiców. Grają trąbki, walą bębny, powiewają flagi. Istny zawrót głowy. Nie wytrzymał tego napięcia i potwornych upałów skarbnik PZPN, Wilhelm Bąk. Powędrował do szpitala. Źle się czuł także Janek Ciszewski. Nie miał ochoty na pokera. Nikt z nas nie domyślał się, że to jest jego ostatni Mundial. Wkrótce odszedł na „wieczną wartę”... A słońce wciąż praży. Takiego skwaru nie było tu od stu lat. Czterdzieści stopni w cieniu! W „Gispert” jak w piekarni. Na mecz z Włochami ekipa wyjechała już o 14.30, bo dziś gramy już o 17.15. Dla nas to zły czas. Włosi w pełni to wykorzystali i wygrali z Polską 2:0. Ale czy tylko nieprzychylna nam aura, brak Bońka w składzie, bo cierpiał za „żółte kartki” i „grzanie ławy” przez Szarmacha ułatwiły rywalom zwycięstwo?

Trzy dni przed meczem z Włochami – uważał się Paweł Janas – były dla nas fatalne. Temperatury stulecia, a my w pokojach bez klimatyzacji. Kładliśmy się spać o drugiej – trzeciej w nocy, przewracaliśmy się z boku na bok i o świcie pędziliśmy do lodówki po coca colę. Mordęga! Ja wiem, że głównie z mojej winy Rossi zdobył drugą bramkę... Przepraszam, ale w tym spotkaniu nic więcej zrobić nie mogłem. Koledzy również. Formę z meczu z Belgią straciliśmy w „Gispert”...

Sięgam dziś, po dwudziestu kilku latach, pamięcią wstecz, widzę „Camp Nou” i ten przegrany mecz. Powiewają sztandary „Solidarności”, rozbrzmiewa „Jeszcze Polska nie zginęła”, jest wiara w zwycięstwo, ale nie ma już formy ze spotkań z Peru i Belgią. Wyraźnie brakuje wytrzymałości i... dyscypliny taktycznej. Luki w środku pola, bo z konieczności brak tu teraz pracowitego Laty, w przodzie duet Włodek – Grzesio, to już nie to samo, co „widzewski tandem” Boniek – Smolarek. Nasi nie byli w stanie przebić się przez szczelną obronę rywala. Napad praktycznie nie istniał. Dino Zoff mógł spać spokojnie. Triumfował Enzo Bearzot.

Nadal gorąco. W naszym hoteliku przy Plaza Catalunya równie parno jak w „Gispert”. Też nie ma klimatyzacji. Zaczynam mieć tego dość. Wprawdzie skoro świt właściciel podrzuca do łóżka zimne piwo, ale to lekarstwo na krótką metę... Chłodny prysznic też niewiele pomaga. Tylko Mirusiowi to nie przeszkadza. Wstał wyjątkowo wcześnie, zarzucił na plecy mundialową torbę ofiarowaną przez organizatorów i wybrał się po zakupy do domu towarowego „El Corte Ingles” przy Ramblas. Ja z Grzesiem Stańskim jeszcze nie zdążyłem rozegrać pierwszej partyjki karioki, a Skórzewski z wyrazem twarzy skazańca znowu jest z nami.

- Miruś! Co się stało? Masz sraczkę?...
- Gorzej... – ledwie wykrztusił.
- Stan przedzawałowy?

– Jeszcze gorzej... – stękał zrezygnowany.

– Mów, co cię ugryzło?

– Okradli mnie... O, z tej torby wyciągnęli całą moją forszę... W „El Corte Ingles”. Chyba na ruchomych schodach.

– Ile? – pytamy jednocześnie.

– Osiemset „zielonych”... Jestem teraz golasa... Muszę wracać do Warszawy...

– To się dobrze składa – powiedziałem pół żartem, pół serio – bo ja też mam taki zamiar... Nie widzi mi się w taki upał podróż z Barcelony do Alicante... I to w pociągu osobowym!... Innego połączenia jutro nie ma. To ponad moje siły...

– Stański, od obu z nas dużo młodszy, spojrzał z politowaniem i wypalił.

– Jedźcie! Jedźcie... Tylko kto wtedy poda wam piwko do łóżka?... U nas teraz o „Żywca” trudniej niż o lekarstwo.... A octu chyba pić nie będziecie...

Grzesio dość łatwo nas przekonał. Chcąc uspokoić skołatane nerwy Mirusia i kłopot, który i nam spadł teraz na głowę, zamówiliśmy u gospodarza po setce „Veterano”. Do wieczora graliśmy w karty. Krótkie przerwy Stański wykorzystywał na zakupy. Na frasunek dobry trunek!... Z samego rana odjeżdżał pociąg do Alicante. Znowu popadam w zły humor. Jak to wszystko pozbierać? Ciężar niesamowity. Rzeczy osobiste, drobne prezenty, mnóstwo dokumentacji prasowej...

– Jedźcie sami, ja nie dam rady – wystękałem. – Za dużo tych maneli...

Koledzy pomogli. Na dworzec dotarliśmy tuż przed odjazdem pociągu. Tłok, jak u nas w kolejce po mięso na kartki. O wolnych miejscach w przedziale, ba – nawet na korytarzu, nie ma co marzyć. Z litości wpuszczono nas do bran kardu. Chyba pół rozspiewanej Barcelony zmierza ku Costa Brava i Costa Blanca. Co chwila ktoś wsiada i wysiada. Szczęśliwcy za moment zanurzają się w morskich falach, a nas w Alicante czeka jeszcze mecz z Francją. Zlani potem, z zaschniętymi gardłami i opuchniętymi nogami, docieramy do Walencji. Tu przesiadka i... ulga, bo wagony klimatyzowane. Nieco „odrodzeni” docieramy na „Es-

tadio Jose Rico”, gdzie przez kilka miesięcy grał Jan Tomaszewski. Był tu dobrym duchem „Herculesa” Alicante.

Polacy zamieszkali w „Gran Hotel Delfin”. Tu nieco spokojniejsze życie. Na zewnątrz upał bodaj jeszcze większy niż w Barcelonie, ale wewnątrz można swobodnie oddychać. Jest klimatyzacja! Nie będzie już nieprzespanych nocy i sennych majaków. Rysuje się realna szansa powtórzenia sukcesu z 1974 roku. Zagra już Boniek, ale – znowu te przeklęte „żółte kartki” – zabraknie Smolaraka. Co teraz wymyśli Piechniczek? Postawił wreszcie na Szarmacha. Ma to być chwyt psychologiczny, bo Andrzej jest we Francji wysoko notowany. Strzela dużo bramek w Auxerre. Czy dziś to potwierdzi?...

Trener „trójkolorowych” w meczu z Polską zrezygnował z kilku zawodników wyczerpanych morderczym pojedynkiem z Niemcami. W normalnym czasie 1:1, po dogrywce 3:3, w rzutach karnych 5:4 dla RFN. Z nami nie zagrali, między innymi: Platini, Giresse i Rocheteau. Michel Hidalgo postawił na „świeżość” i ambicję rezerwowych. Ruszyli z impetem i już w 14 minucie prowadzili 1:0 ze strzału Girarda. Świetnie grał pomocnik Bordeaux Jean Tigana. Dotychczas był w cieniu Platniego, teraz nie czując obok siebie oddechu wielkiego Michela, Tigana sam „rządził i dzielił” na boisku. Jednak w końcówce meczu i on gonił resztkami sił. Dał o sobie znać wysiłek włożony w mecz RFN – Francja, chyba najlepszy na tym Mundialu!... Było tam wszystko: wysoki poziom gry, indywidualne popisy gwiazd, niezwykła dramaturgia i... zaskakujący finał. Widowskowo grająca Francja w dogrywce prowadziła 3:1, mimo to powalił ją niemiecki czołg. Czy „piłkarskie tygrysy” zburzą w finale włoski bunkier? To jutro, dziś my gramy o trzecie miejsce na świecie.

Francuzi potrafią błysnąć, olśnić, by nagle zgasnąć. Te swoje fanaberie zaprezentowali również w meczu z Polską w Alicante. Dość długo śmiało nacierali na Polaków, ale nasi nie byli dłużni. Atak za atak, można nawet powiedzieć „zab

za zęb”. To ostatni mecz Mundialu, trzeba więc pójść na całego! Taktyka „burzy i naporu”, z obu stron. Kto to lepiej wytrzyma? Sześciu rezerwowych Francuzów, jeszcze nie wypalonych, łaknących walki i zwycięstwa, a piłkarsko nie gorszych od tych z podstawowego składu, w końcowej fazie meczu może nas zamęczyć. Nie ma na co czekać, trzeba to wcześniej rozstrzygnąć! Recepta? Na szaleńcze natarcie „biało-czerwonych” Francuzi nie znaleźli odpowiedzi, już w pierwszej połowie przegrywali 1:2. W 41 z podania Bońka, Szarmach (a jednak!) wyrównał na 1:1, a w 45 – po rzucie rożnym Kupcewicz – rostry Stefan Majewski głową wepchnął piłkę do siatki.

Zimny prysznic dla Francuzów tuż przed zejściem do szatni. Ochłoną, poderwą się czy oklapną? Takie myśli krążyły człowiekowi po głowie, ale rychło wszelkie niepewności rozwiął Janusz Kupcewicz. Z rzutu wolnego „zakręcił rogala” w stylu Kazia Deyny i tak finezyjnie ominął skąpy mur, że bramkarz Jean Castaneda bezradnie szukał piłki... wzrokiem. 3:1! Rywal nie rezygnował. Finiszował ambitnie, poprawił wynik na 2:3, ale do remisu i dogrywki nie dopuścił Józef Młynarczyk. Grał bezbłędnie, strzałów Rene Girarda i Alaina Couriola nie mógł obronić. Tym razem aura nam sprzyjała. W czwartek na „Camp Nou” w skwarze ulegliśmy Włochom, tu w Alicante w sobotę wiał od Morza Śródziemnego chłodny zefirek. W sumie widowisko udane, zadające kłam obiegowym opiniom, że w mistrzostwach świata mecze o TRZECIE MIEJSCE są zazwyczaj nudne. To był pokaz dobrego futbolu!

Mały łyk statystyki. Był to siódmy z kolei występ Polaków na hiszpańskim Mundialu. Bataię o „srebrny” medal zaczęliśmy 14 czerwca w Vigo bezbramkowym remisem z Włochami, a zakończyliśmy 10 lipca 1982 roku w Alicante wygraną z Francją 3:2. Prawie cztery tygodnie zaciętej rywalizacji na światowym poziomie. Początek nie najlepszy, finisz udany. Szczyt formy naszego zespołu przypadł w odpowiednim momencie, na bardzo ważne mecze z Peru (5:1) i Belgią

(3:0). Wraz z osiągnięciami drużyny rosła klasa Zbigniewa Bońka. Ostatecznie, tak – jak w roku 1974 Kazimierz Deyna – był trzeci na świecie. To będzie miało duże znaczenie w wyborze polskiego piłkarza wszechczasów. Tak widziałem naszych medalistów po wygranej z Francją.

Józef Młynarczyk: W całym turnieju nie popełnił poważnego błędu. Szalenie silny punkt zespołu również w meczu o medal.

Marek Dziuba: dobry. Umiejętnie współpracował z Lata.

Władysław Żmuda: 80 występów w reprezentacji. Imponował spokojem. Ofiarne interwencje w końcowych minutach meczu z Francją. Autentyczny kapitan.

Paweł Janas: Chyba najbardziej odczuł trudy tego turnieju. W pięciu meczach świetny, w dwóch nieco słabszy.

Stefan Majewski: Umiejętnie asekurował stoperów, ale też dość często współtworzył akcje ofensywne. Dobra gra głową. (Gol po rzucie rożnym Kupcewicza).

Grzegorz Lato: Jak zwykle pracował na całym boisku. Był król strzelców, także mistrz w destrukcji. Wzorowo ubezpieczał Dziubę. Wielce udane pożegnanie z Mundialem i reprezentacją Polski.

Waldemar Matysik: Tytan pracy. W meczu z Francją miał prawo prosić o zmianę, bo w oczach opadał z sił. Ten Mundial kosztował go sporą utratę zdrowia.

Janusz Kupcewicz: Z meczu na mecz lepszy. Duże umiejętności. Grał z rozmachem. Autor nieszablonowych podań, strzałów z dystansu, świetny wykonawca stałych fragmentów gry. Wielka nadzieja na przyszłość.

Andrzej Buncol: Odkrycie Mundialu, ale... finisz nieco słabszy. Też mocno odczuł trudy 7 spotkań. Lepszy w konstruowaniu akcji niż wspomaganie Majewskiego.

Roman Wójcicki: W meczu z Francją praktycznie trzeci stoper. Grał twar- do i spokojnie. Odpowiada mu wir ostrej walki.

Zbigniew Boniek: Dynamiczny, przebojowy, brakowało tylko takiej krop- ki nad „i” jak w meczu z Belgią. Wzorowo współpracował zwłaszcza z Szarma- chem, Latą i... Kupcewiczem. Jedna z gwiazd tych mistrzostw.

Andrzej Szarmach: Zawsze jego zadaniem numer jeden było strzela- nie bramek. W meczu z Francją to potwierdził. Indywidualność, ale daleka od egoizmu. Szkoda, że był tylko rezerwowym w przegranym meczu z Wło- chami.

Włodzimierz Smolarek: Nie grał z Francją. Jego nieobecność była mocno odczuwalna, głównie w odciążeniu pracy obrońców. Dobry duch zespołu, spry- ciarz, obok Laty i Matysika największy wojownik w naszej drużynie.

Znowu długa podróż pociągiem (w nocy) z Alicante do Madrytu. Potrzeb- ny wypoczynek i odrobina spokoju, bo rano trzeba poszukać miejsca w niedro- gim hotelu i opisać występ „biało-czerwonych” na Costa Blanca. Tymczasem An- drzej Makowiecki, reklamowany przez kolegów z Łodzi, jako „prozaik, scena- rzysta filmowy, podróżnik, jazzman, jeden z najwybitniejszych polskich reporte- rów, publicysta”, raz po raz z hukiem otwierał nasze drzwi od przedziału i robił zrzutkę na kolejną butlę „Veterano”. Trudno było pogonić natręta, już za dużo miał w czubie...

Łódzki Hemingway mniej więcej w tym samym czasie, co ja wespół z red. Stefanem Grzegorzczkiem „**Tajemnice Mundialu – Espana ‘82**”, napisał ksią- żeczkę pod zachęcającym tytułem „**Nerwy · radość · zwątpienie · zwycięstwo**”. Nakład prawie stutysięczny. Przy 60 000 naszego „Mundialu”... robiło to wraże- nie. Tylko że my w „Espana ‘82” nikogo bezpodstawnie nie obrażaliśmy, z niko- go też nie kpiliśmy, natomiast „najwybitniejszy polski reporter” w swoim „dzie- le” uznał to niemalże za wątek najważniejszy.

...Wasza fachowość panowie, o którą tak bardzo walczy szef „Piłki Nożnej”, redaktor Grzegorzczyk, robiąc gdzie się da karczemne awantury, że na Mundial pojechało parę piór dyletanckich, wasza fachowość stoi pod dużym znakiem zapytania... No bo co wy umiecie? Podać składy, minuty... a dalej: kilka wyuczonych na pamięć sloganów – kiwka w lewo, kiwka w prawo, kontuzja, brak kondycji, błąd taktyczny. Jak któryś dorzuci od siebie jakiś przaśny epitet, to już jest za Hemingwaya. Czasy się zmieniły... Zmienili się także piłkarze, z którymi kiedyś tak łatwo się gadało, a dzisiaj wielu z nich przewyższa dziennikarzy intelektem... Zresztą, niech pan przeczyta dalej tę książkę, na zdrowie! Gdzieś tam jeszcze wyjaśnię panu po drodze kilka spraw.

No i „łódzki Hemingway” zaczął wyjaśniać:

...Hotelarki odwołują mnie na bok. Proszą, abym zatrzymał w salonie wszystkich obecnych... Panie ustawiają na stole ogromny gar, z którego buchają na metr jężory ognia. Grad pytań:

– Co to jest?

– Alkohol.

– Jaki?

– Galicyjski.

– Z czego?

– Z szalenie mocnej, tutejszej wódki terrinia, do której dodaje się trochę owoców, trochę cukru, trochę kawy, albo czerwonego wina i podpala. To, co zostaje, zwala bitewnego byka w nóg.

– Jak to się nazywa?

– Oueimada.

...Nie mogę dzisiaj pić. Skaleczę się, zaskoczę, pójdę w tango, a jutro zamiast pisać, będę umierał.

Książeczkę pisał dopiero w sierpniu, ale chyba już wcześniej przygotował na nas donosy.

...Wróćmy do Bońka. Ma sławę, fart, pieniądze i to takie pieniądze, że może mu spokojnie wymyć nogi najbogatszy badylarz.

– Dlaczego nie lubi pan dziennikarzy?

– Nie lubię po prostu dwulicowych dziennikarzy.

– W „La roz de Galicia” jest zdjęcie, na którym po zdobyciu bramki pozdrawia pan jakby polskich kibiców, mnie natomiast wydaje się, że grozi pan ręką polskiej loży prasowej. Mam rację?

– Niezupełnie. Pokazałem: o! – zgięcie ramienia i charakterystyczne cmoknięcie pięści – redaktorowi Wykrocie.

– Ten z „Trybuny Robotniczej”, który po meczu Polska – Kamerun napisał: „Stolek dla pana Bońka”?

– Tak. I czy się panom redaktorom podoba czy nie, to ja dzisiaj idę do dechy.

– Sam, wybaczcie szczerą, mam identyczne zamiary. I w ogóle nie jestem świętoszkiem. I jeszcze jedno: w żadnym, ani radzieckim, ani amerykańskim reportażu nie spotkasz tylu cholernych zakłamańców, tylu kryształowych męczenników zawodu, co w naszym. Fiut na supeł, wódki nie ruszy, żonę zdradził ostatni raz w myślach z Marylin Monroe.

Siup! Powtórzyłem jeszcze dwa razy. W sali tranzytowej rozkleiłem się z lekka. Boniek patrzył na mnie koso... Uratował mnie jednakże Marek Dziuba.

– Koniec!

– To znaczy?

– Ani kropelki.